Strategia odmowy i architektura przyzwoitego pokoju w ujęciu Elbridge'a A. Colby'ego

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Tekst analizuje koncepcję „przyzwoitego pokoju” El bridge'a A. Kolby'ego, definiując go nie jako brak konfliktów, lecz jako stan równowagi, w którym agresor uznaje dążenie do hegemonii za zbyt kosztowne. Autor argumentuje, że w anarchicznym systemie międzynarodowym prawo i normy są wtórne wobec rozkładu sił, a pokój bez zdolności odmowy jest jedynie zaproszeniem do podboju. W obliczu nowoczesnych form przymusu – od szantażu energetycznego po cyberataki – kluczowe staje się odstraszanie poprzez realny potencjał militarny (chart power). Przyzwoity pokój to zatem taki, który wyklucza wymuszoną uległość i fakty dokonane, czyniąc bezpieczeństwo funkcją korzystnej równowagi sił, a nie jedynie wynikiem dyplomatycznych deklaracji.

The text analyzes Elbridge Colby's concept of a "decent peace," defining it not as the absence of conflicts, but as a state of equilibrium in which an aggressor considers the pursuit of hegemony to be too costly. The author argues that in an anarchic international system, law and norms are secondary to the distribution of power, and peace without the capacity for denial is merely an invitation to conquest. In the face of modern forms of coercion—from energy blackmail to cyberattacks—deterrence through real military potential (hard power) becomes key. A decent peace is therefore one that excludes forced submission and faits accomplis, making security a function of a favorable balance of power rather than merely the result of diplomatic declarations.

Artykuł analizuje koncepcję „przyzwoitego pokoju” w ujęciu Elbridge'a A. Colby'ego, stawiając tezę, że stabilność międzynarodowa nie jest produktem dyplomatycznej retoryki czy dobrych intencji, lecz materialnym wynikiem strategii odmowy. Autor argumentuje, że w anarchicznym systemie globalnym, gdzie prawo bez siły egzekucyjnej

staje się jedynie „listem kondolencyjnym”, jedynym sposobem na powstrzymanie aspirującego hegemona (ze szczególnym uwzględnieniem Chin w regionie Indo-Pacyfiku) jest sprawienie, by koszt próby zmiany status quo był dla agresora zbyt wysoki i nieracjonalny. Kluczowym elementem tej architektury jest budowa wiarygodnej koalicji antyhegemonicznej oraz przyjęcie strategii „zróżnicowanej wiarygodności”, w której mocarstwo stabilizujące (USA) priorytetyzuje kluczowe teatry działań zamiast rozpraszać zasoby. Tekst dowodzi, że pokój kompatybilny z wolnością wymaga nie tyle chęci do walki, co precyzyjnej zdolności do uniemożliwienia sukcesu przeciwnika już w pierwszej fazie konfliktu, przekształcając bezpieczeństwo z abstrakcyjnej wartości w twardą architekturę kosztów.

SŁOWA KLUCZOWE

strategia odmowy | przyzwoity pokój | architektura przyzwoitego pokoju | Elbridge A. Colby | wojna ograniczona | ciężar eskalacji | zewnętrzny stabilizator | external cornerstone balancer | strategia faktów dokonanych | koalicja antyhegemoniczna | zróżnicowana wiarygodność | binding strategy | odstraszanie przez odmowę | Indo-Pacyfik | dylemat bezpieczeństwa

Pokój bez zdolności odmowy jest zaproszeniem do rozbioru

Wyobraźmy sobie miasto położone między morzem a górami. Bogate, dumne i uczone; pełne kupców, prawników, inżynierów, kapłanów danych i poetów od reklamy. Mieszkańcy wierzą, że ich dobrobyt wynika z prawa, wolności handlu, dobrych manier i eleganckich traktatów. W ratuszu przechowują księgę zasad: zapisano w niej, że granic nie wolno przesuwać siłą, umów należy dotrzymywać, słabszych nie wolno połykać, a spory powinny rozstrzygać sądy, komisje i długie, rozsądne posiedzenia. Miasto jest cywilizowane. Ma swoje procedury, wykresy, audyty i departament reputacji.

Za górami rośnie jednak imperium. Nie dlatego, że byłoby bardziej prymitywne, lecz dlatego, że jest bardziej cierpliwe. Imperium również czyta traktaty, zna język prawa, potrafi mówić o pokoju, harmonii i historycznej krzywdzie. W podziemiach szkoli jednak wojsko, buduje flotę, mapuje słabości sąsiadów, kupuje porty, wiąże kredytem elity, dzieli przeciwników i czeka na dzień, w

którym jedno z małych księstw na obrzeżach miasta będzie można oderwać jednym szybkim ruchem. Nie po to, by od razu spalić całe miasto, lecz by pokazać wszystkim innym, że księga zasad jest piękna, ale bez straży pozostaje tylko papierem. Wtedy rada miasta zbiera się na nadzwyczajnym posiedzeniu.

Jedni mówią: nie prowokujmy imperium. Drudzy: ogłośmy sankcje. Trzeci: musimy wysłać delegację moralną. Czwarty, najmniej lubiany, mówi rzecz nieprzyjemną: jeśli chcemy pokoju, musimy sprawić, by imperium uwierzyło, że pierwszy krok podboju będzie zbyt drogi. Nie dlatego, że jesteśmy żądni wojny, lecz dlatego, że pokój bez zdolności odmowy jest zaproszeniem do rozbioru. W sali robi się chłodno. Ktoś syczy, że to militaryzm, ktoś inny – że cynizm. Lecz stary strateg odpowiada: cynizmem jest udawać, że wilk przeczytał regulamin pastwiska.

Ta przypowieść stanowi najkrótsze wprowadzenie do koncepcji Elbridge'a A. Colby'ego. W jego języku „przyzwoity pokój" nie jest nastrojem, deklaracją ani moralną dekoracją polityki. Jest osiągnięciem. Nie rodzi się spontanicznie z dobrych intencji i nie jest nagrodą za poprawne słownictwo dyplomatyczne. To stan równowagi, w którym agresor uznaje, że droga do hegemonii została zamknięta nie retorycznie, lecz materialnie. Państwo, które chce żyć w pokoju, musi umieć odmówić zwycięstwa temu, kto pokój rozumie jako ciszę po kapitulacji przeciwnika. Punkt wyjścia Colby'ego jest brutalnie klasyczny.

System międzynarodowy pozostaje anarchiczny, ponieważ nie istnieje żaden globalny suweren zdolny ostatecznie rozstrzygać spory i egzekwować wyroki wobec mocarstw. Prawo międzynarodowe, normy, organizacje czy trybunały mają znaczenie, ale jest ono wtórne wobec rozkładu siły. Nie dlatego, że prawo byłoby fałszem, lecz dlatego, że bez zdolności egzekucyjnej staje się obietnicą zależną od woli tych, którzy mogą je złamać. W notatce źródłowej trafnie ujęto ten rdzeń: w anarchicznym świecie ostatecznym arbitrem pozostaje siła fizyczna, a „hard power" dominuje nad „soft power", jeśli nie zostanie powstrzymana przez adekwatny potencjał militarny. Bezpieczeństwo fizyczne, wolność polityczna i dobrobyt nie są stanami danymi raz na zawsze, lecz funkcją korzystnej równowagi sił.

Colby nie proponuje zatem apoteozy przemocy, lecz trzeźwą antropologię polityczną. Człowiek nowoczesny lubi wierzyć, że przemoc to archaizm, który można wypchnąć do muzeum obok halabardy i monarchy na koniu. Tymczasem przemoc nie zniknęła – zmieniła kostium. Występuje jako blokada morska, szantaż energetyczny, cyberatak, operacja wpływu, presja inwestycyjna czy groźba eskalacji nuklearnej. Nowoczesność nie usunęła przymusu; uczyniła go jedynie bardziej modułowym.

Przyzwoity pokój to brak wymuszonej uległości

Tam, gdzie dawniej maszerowała armia, dziś często najpierw idzie kabel, kredyt, kontrakt, bot, port, satelita i narracja. Jednak na końcu tej sekwencji wciąż stoi pytanie najstarsze: kto może komu narzucić wolę, gdy zawiodą słowa? "Przyzwoity pokój" to zatem pokój kompatybilny z wolnością, bezpieczeństwem i dobrobytem wspólnoty politycznej. Nie jest on pokojem dowolnym; nie każdy brak strzałów zasługuje na pochwałę. Cisza po zajęciu terytorium, cisza po podporządkowaniu sąsiada, wymuszeniu strefy wpływów czy kapitulacji elit gospodarczych przed dyktatem hegemona może być porządkiem, ale nie jest przyzwoitym pokojem. Jest raczej konserwacją przemocy, która osiągnęła swój cel i chwilowo nie musi krzyczeć. Tu właśnie objawia się erystyczna siła Colby'ego: zmusza on liberalnego czytelnika do odróżnienia pokoju od uspokojenia, stabilności od ubezwłasnowolnienia, a kompromisu od wymuszonego uznania faktów dokonanych. W tym kontekście kluczową rolę odgrywa koncepcja wojny ograniczonej.

W epoce mocarstw nuklearnych całkowite zwycięstwo nad przeciwnikiem porównywalnej klasy staje się celem nieracjonalnym, gdyż prowadziłoby do eskalacji egzystencjalnej. Stany Zjednoczone i Chiny, a w innym układzie USA, Izrael i Iran – jako aktorzy związani wielowarstwową drabiną eskalacyjną – nie działają w świecie, w którym można po prostu "zniszczyć wroga" bez ryzyka katastrofalnej reakcji systemowej. Wojna ograniczona nie oznacza jednak wojny łagodnej. To nie jest konflikt w wersji dietetycznej, wojna bez cukru i bez konsekwencji. Oznacza raczej starcie prowadzone w ramach celów i środków, których przekroczenie groziłoby wejściem na poziom nieakceptowalnych kosztów. W ujęciu Colby'ego wojna ograniczona jest zatem brutalną negocjacją. Strony walczą nie tylko o terytorium, czas czy przewagę w powietrzu i na morzu, ale przede wszystkim o reguły samego konfliktu. Dążą do narzucenia przeciwnikowi takich ograniczeń, by własne cele polityczne pozostały osiągalne, a eskalacja drugiej strony stała się zbyt kosztowna. Tu pojawia się jedno z najważniejszych pojęć całej konstrukcji: ciężar eskalacji. Zwycięża niekoniecznie ten, kto w abstrakcyjnym bilansie posiada więcej środków zniszczenia. Wygrywa ten, kto w konkretnej sekwencji konfliktu potrafi sprawić, że przeciwnik – chcąc uniknąć ograniczonej porażki – musiałby wykonać krok tak ryzykowny, agresywny i politycznie demaskujący, że racjonalniej będzie mu zatrzymać się, przełknąć stratę i zgodzić się na deeskalację.

Logika ta jest kluczowa dla Indo-Pacyfiku. Colby uznaje Azję za teatr kardynalny, ponieważ to tam kumuluje się największa dynamika gospodarcza, demograficzna, technologiczna i militarna współczesnego świata. Region ten opisany jest jako obszar skupiający około 40 procent globalnego PKB i będący motorem światowego wzrostu, podczas gdy Chiny jawią się jako najpoważniejszy pretendent do hegemonii regionalnej. Nawet jeśli konkretne dane wymagają aktualizacji metodologicznej, sama analiza strategiczna pozostaje aktualna: kto zdominuje Azję, ten uzyska

dźwignię wpływu na światowe łańcuchy dostaw, technologie, szlaki morskie, rynki kapitałowe i decyzje polityczne państw zależnych od handlu z regionem. Stawką nie jest więc romantyczna obrona dalekiej wyspy dla samej wyspy.

Strategia odmowy jako blokada hegemonii

Stawką jest to, czy w Azji powstanie hegemon zdolny do politycznego i gospodarczego przemodelowania układu światowego. Chiny nie musiałyby okupować wszystkich sąsiadów, aby osiągnąć dominację; wystarczyłoby, że przekonałyby ich, iż opór jest samotny, kosztowny i daremny. Hegemonia w dojrzałej postaci rzadko wymaga codziennego używania siły. Wystarczy, że wszyscy wiedzą, gdzie pałka leży i kto ma do niej klucz.

Strategia faktów dokonanych stanowi tutaj najgroźniejszego narzędzia. Polega ona na szybkim, skoncentrowanym uderzeniu w wybrany cel przy jednoczesnym odstraszaniu reszty koalicji od reakcji. Napastnik nie musi od razu pokonać wszystkich przeciwników – wystarczy, że rozbije najsłabsze ogniwo, zanim sojusz stanie się politycznie, wojskowo i psychologicznie zdolny do działania. Jeśli agresor zajmie terytorium, okopie się, ogłosi sprawę za zamkniętą i zagrozi eskalacją każdemu, kto spróbuje odwrócić rezultat, ciężar decyzji zostaje przerzucony na obrońców. To oni muszą rozstrzygnąć, czy ryzykować wielką wojnę w celu wyzwolenia utraconego obszaru. W oczach świata to oni stają się stroną „eskalującą", choć moralnie i politycznie jedynie reagują na agresję. Oto diabelska elegancja faktu dokonanego: agresor najpierw łamie porządek, a potem oskarża obrońcę o destabilizację, gdy ten próbuje go przywrócić.

Dlatego strategia odmowy zajmuje u Colby'ego miejsce centralne. Nie chodzi w niej o ukaranie przeciwnika po fakcie, lecz o uniemożliwienie mu sukcesu na samym początku. Obrona Tajwanu, Filipin czy innego kluczowego punktu zachodniego Pacyfiku nie powinna opierać się na obietnicy późniejszego odwetu, ale na realnej zdolności do zablokowania inwazji, desantu i konsolidacji zajętego terenu.

Odmowa jest strategią negatywną w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie dąży do zdobycia Pekinu, rozmontowania Chin, upokorzenia chińskiej cywilizacji ani narzucenia jej obcego ustroju. Ma przekazać jedną wiadomość: nie przejdziesz tędy do hegemonii. Rozróżnienie to ma także wymiar prawny. W języku prawa międzynarodowego odpieranie agresji mieści się w logice samoobrony i zbiorowej samoobrony, podczas gdy wojna prewencyjna czy zmiana reżimu wchodzą w obszar normatywnie podejrzany, a często jawnie zakazany. Strategia odmowy, o ile pozostaje defensywna, jest próbą przywrócenia elementarnej funkcji prawa: ochrony przed przymusem. Pod tym względem Colby okazuje się bardziej prawniczy, niż chcieliby jego liberalni krytycy. Nie

dlatego, że ufa paragrafom bardziej niż okrętom, lecz dlatego, że wie, iż paragraf bez okrętu bywa listem kondolencyjnym wysłanym po aneksji.

Strategia wyboru i rola zewnętrznego stabilizatora

Aktualny konflikt Izraela i USA z Iranem, trwający według dostępnych doniesień od lutego 2026 roku, stanowi dramatyczny przykład logiki wojny ograniczonej, ciężaru eskalacji i walki o reguły konfliktu. Jak relacjonuje Reuters, starcia wywołały już poważne skutki gospodarcze dla globalnego biznesu, uderzając przede wszystkim w szlaki handlowe, ceny energii oraz stabilność cieśniny Ormuz. Agencja donosiła również o irańskiej propozycji zakończenia wojny przekazanej USA za pośrednictwem Pakistanu; Teheran domagał się w niej m.in. zaprzestania działań wojennych, odszkodowań, zniesienia blokady morskiej i gwarancji bezpieczeństwa przed kolejnymi atakami. Nie należy jednak traktować tych doniesień jako prostego odpowiednika scenariusza tajwańskiego. Iran nie jest Chinami, Izrael nie jest Tajwanem, a Bliski Wschód nie jest Indo-Pacyfikiem.

Mechanika strategiczna pozostaje jednak pouczająca. Strony testują granice eskalacji: Iran może próbować zwiększać presję poprzez cieśninę Ormuz, sieci sojusznicze i aktorów zastępczych, uderzając w państwa Zatoki. Z kolei USA i Izrael dążą do utrzymania konfliktu w ramach celów ograniczonych – osłabienia programu nuklearnego, degradacji zdolności wojskowych czy wymuszenia porozumienia – unikając jednocześnie pełnoskalowej okupacji lub totalnego rozbicia państwa irańskiego.

Każdy z graczy dąży do tego, by to przeciwnik musiał wykonać kolejny, ryzykowny krok; chodzi o przerzucenie ciężaru eskalacji na drugą stronę. Widać tu wyraźnie ekonomiczną anatomię wojny ograniczonej. W świecie globalnych łańcuchów dostaw nawet konflikt regionalny przestaje być lokalny w skutkach. Ceny ropy, ubezpieczenia morskie, koszty frachtu czy ryzyka dla lotnictwa i przemysłu przenoszą wojskowe decyzje bezpośrednio do bilansów spółek na kilku kontynentach. Według Reutersa globalne firmy poniosły już wielomiliardowe straty, szczególnie w sektorach transportowym, energetycznym i surowcowym.

Dla ekonomisty jest to przypomnienie, że „przyzwoity pokój” nie jest luksusem moralistów, lecz warunkiem kalkulowalności gospodarczej. Biznes kocha stabilność, ale często zapomina, że stabilność nie jest aplikacją w chmurze. Ktoś musi utrzymywać serwer porządku. To prowadzi do koncepcji zewnętrznego stabilizatora. W ujęciu Colby'ego Stany Zjednoczone powinny pełnić rolę external cornerstone balancer – zewnętrznego filaru równowagi, zwłaszcza tam, gdzie lokalne państwa nie są w stanie samodzielnie zrównoważyć aspirującego hegemona. W Azji żadne

pojedyncze państwo, nawet Japonia czy Indie, nie zagwarantuje skutecznego powstrzymania Chin na całym teatrze zachodniego Pacyfiku.

Dopiero obecność USA sprawia, że koalicja antyhegemoniczna staje się politycznie wiarygodna i wojskowo sensowna. Ta funkcja wymaga jednak priorytetyzacji. Państwo, które chce być wszędzie, kończy jako mocarstwo obecne symbolicznie, lecz niewystarczające operacyjnie. Colby rozbija tu jedną z najwygodniejszych iluzji zachodniej polityki: przekonanie, że strategia polega na jednoczesnym potwierdzaniu wszystkich zobowiązań. Strategia to sztuka wyboru. To umiejętność stwierdzenia: to jest kardynalne, to ważne, to drugorzędne, to można ograniczyć, a z tego trzeba wyjść, choć komentatorzy będą przez tydzień mdleć w studiach telewizyjnych. Bon mot przypisywany tej logice brzmi: łamanie mniejszych obietnic może świadczyć o wierności wielkim celom. Brzmi to skandalicznie tylko dla tych, którzy mylą etykę odpowiedzialności z katalogiem pięknych intencji. Tu pojawia się kwestia zróżnicowanej wiarygodności. Colby odrzuca naiwną koncepcję wiarygodności ogólnej, według której wycofanie się z jednego teatru automatycznie niszczy reputację mocarstwa wszędzie. Sojusznicy nie pytają abstrakcyjnie o to, czy Waszyngton zawsze dotrzymuje każdej obietnicy. Pytają, czy dotrzyma tej konkretnej obietnicy, która dotyczy ich regionu, w starciu z danym przeciwnikiem i przy określonej stawce.

Pokój jako owoc materialnej zdolności odmowy

Wycofanie się z Afganistanu nie musi oznaczać dla Japonii tego samego, co upadek Tajwanu. Redukcja obecności na Bliskim Wschodzie może wręcz wzmacniać wiarygodność w Azji, jeśli pokazuje, że USA oszczędzają zasoby na najważniejszy teatr. Natomiast porażka w obronie Tajwanu byłaby dla regionu Indo-Pacyfiku sygnałem o zupełnie innej wadze: filar koalicji nie uniósł ciężaru w miejscu, które sam uznawał za kluczowe. Właśnie dlatego ostatnie doniesienia o amerykańskiej presji na sojuszników w sprawie sprecyzowania ich roli w potencjalnym konflikcie o Tajwan są strategicznie spójne z logiką Colby'ego. Reuters, relacjonując informacje „Financial Times", wskazywał w 2025 roku, że Pentagon naciskał na Japonię i Australię, aby jaśniej określiły swoje zadania w razie wojny o Tajwan, co łączono z działaniami Elbridge'a Colby'ego jako wysokiego urzędnika Pentagonu.

Takie działanie może być dyplomatycznie niewygodne, lecz strategicznie konieczne. Koalicja, która nie wie, kto ma zrobić co w pierwszym tygodniu wojny, nie jest koalicją, lecz klubem dyskusyjnym z flagami. Uczciwość intelektualna nakazuje jednak zauważyć pewną wątpliwość – jest ona cenniejsza od fanfary. Strategia odmowy może odstraszać, ale może też zwiększać napięcie, jeśli zostanie odczytana przez Pekin jako przygotowanie do trwałego odcięcia Chin od ich celów

narodowych. Krytycy wskazują, że intensywne ustawienie sił pod scenariusz wojny o Tajwan może wytworzyć logikę samospełniającego się kryzysu. Melanie Sisson w analizie Brookings argumentowała, że odstraszanie przez odmowę może przesuwać USA w stronę podwyższonej gotowości wojennej i zwiększać ryzyko reakcji podejmowanych pod presją, zamiast decyzji deliberatywnych.

To poważny argument. Nie obala on Colby'ego, ale przypomina, że dobra strategia musi być nie tylko twarda, lecz także sterowna. Miecz odstraszania nie może być tak nerwowy, by sam wyskakiwał z pochwy. Jednak krytyka ta ma granicę. Jeżeli alternatywą dla strategii odmowy jest nieprzygotowanie, rozproszenie zasobów i wiara, że Pekin zadowoli się retorycznym statusem, to jest to nie tyle realizm pokojowy, ile hazard ubrany w garnitur. Historia uczy, że aspirujący hegemon nie musi być irracjonalny, aby być niebezpieczny.

Wystarczy, że uzna, iż koszt sekwencyjnego przesuwania granic jest niższy niż koszt powstrzymania się. W takim świecie konformizm polityczny nie jest umiarkowaniem; jest outsourcingiem odwagi na przyszłe pokolenia. Część pierwsza prowadzi więc do tezy podstawowej: przyzwoity pokój nie jest przeciwieństwem strategii siły, lecz jej najlepszym możliwym owocem. Wojna ograniczona nie jest zaproszeniem do awantury, lecz sposobem myślenia o tym, jak nie dopuścić, by konflikt wymknął się ku katastrofie. Ciężar eskalacji nie jest abstrakcją akademicką, lecz narzędziem politycznego zmuszania przeciwnika do uznania granic własnej ambicji. Binding strategy nie jest technicznym żargonem sojuszniczym, lecz sztuką takiego związania losów państw, aby agresor nie mógł kroić ich po plasterku. Zróżnicowana wiarygodność nie jest cyniczną zdradą mniejszych spraw, lecz warunkiem obrony spraw najważniejszych. Zewnętrzny stabilizator nie jest imperialnym kaprysem, lecz odpowiedzią na prosty fakt: słabi, rozproszeni i przestraszeni rzadko powstrzymują hegemona sami. Najkrótsza formuła brzmi następująco: pokój nie polega na tym, że agresor nie słyszy sprzeciwu. Pokój polega na tym, że słyszy odmowę zanim ruszy. Esej prowadził od przypowieści do architektury pojęć; czas zejść niżej, w maszynownię strategii.

Tam nie ma już wielkich fraz o porządku międzynarodowym. Są ograniczone zasoby, ograniczony czas reakcji, ograniczona wola społeczna, ograniczona wytrzymałość gospodarki i nieograniczona skłonność komentatorów do moralizowania po fakcie. Colby'ego czyta się niewygodnie właśnie dlatego, że jego realizm nie pyta najpierw, co byłoby piękne, lecz co będzie możliwe, gdy przeciwnik użyje przemocy szybciej niż my użyjemy uchwały. Wojna ograniczona jest dla tej szkoły myślenia nie wyjątkiem od normalności, lecz podstawową formą konfliktu między mocarstwami nuklearnymi. Nie jest wojną „małą", lecz wojną zamkniętą w politycznej klatce. Jej dramat polega na tym, że strony mogą zadawać sobie realne ciosy, niszczyć infrastrukturę, zabijać żołnierzy, paraliżować handel i demolować gospodarki, a zarazem stale pilnować, by nie przekroczyć progu,

za którym konflikt przestaje być narzędziem polityki, a staje się katastrofą cywilizacyjną. Wojna ograniczona jest zatem najbardziej nowoczesną i najbardziej archaiczną formą przemocy naraz. Nowoczesną, bo zarządza eskalacją, komunikatem, progiem nuklearnym, reakcją rynków, obrazem satelitarnym i percepcją sojuszników.

Archaiczną, bo nadal sprowadza się do pytania, kto kogo zmusi do ustępstwa pod groźbą dalszego cierpienia. U Colby'ego wojna ograniczona ma trzy warunki racjonalności. Po pierwsze, musi mieć ograniczony cel polityczny. Nie chodzi o eksterminację przeciwnika, rozbiór jego państwa ani triumfalne wejście do stolicy z orkiestrą i kamerami. Chodzi o odmowę konkretnego sukcesu agresora. Po drugie, musi mieć ograniczone środki, czyli takie reguły użycia siły, które nie czynią wojny egzystencjalną dla drugiej strony. Po trzecie, musi pozostawiać przeciwnikowi drogę wyjścia, ponieważ przeciwnik bez drogi wyjścia może uznać, że nie ma już nic do stracenia. Ta ostatnia zasada jest szczególnie trudna dla opinii publicznej. Społeczeństwa demokratyczne lubią język sprawiedliwości pełnej, kary ostatecznej i moralnego oczyszczenia. Strategia lubi język gorszy, ale bezpieczniejszy: wystarczy, żeby agresor nie wygrał. Tak rozumiana wojna ograniczona nie jest dowodem słabości. Jest dowodem dyscypliny. Państwo, które potrafi ograniczyć cel, by osiągnąć wynik polityczny bez uruchomienia katastrofy, zachowuje się dojrzale. Państwo, które w imię psychologicznej satysfakcji rozszerza cel aż do niemożliwości, myli strategię z terapią zbiorowej frustracji.

Strategia odmowy jako uniemożliwienie sukcesu agresora

Colby jest bliski Clausewitzowi nie dlatego, że lubi wojnę, lecz dlatego, że podporządkowuje ją polityce. Wojna ma służyć celowi. Jeżeli cel po drodze puchnie, mutuje i zaczyna pożerać własne uzasadnienie, wówczas polityka przegrywa z emocją. A emocja w sztabie generalnym bywa droższa niż inflacja w państwie rentierskim.

W notatce źródłowej słusznie podkreślono, że w wojnie ograniczonej nie chodzi o bezwarunkową kapitulację przeciwnika, zmianę reżimu czy całkowite rozbrojenie. Strony ustanawiają i testują reguły konfliktu, a ich naruszenie wiąże się z groźbą eskalacji i odwetu. Zwycięstwo nie polega na totalnym rozgromieniu wroga, lecz na osiągnięciu celu politycznego w ramach przyjętych ograniczeń oraz skłonieniu przeciwnika do deeskalacji na warunkach korzystnych dla obrońców. To sedno myślenia Colby'ego: nie trzeba niszczyć aspirującego hegemona, aby powstrzymać jego roszczenia. Trzeba odebrać mu wiarygodną ścieżkę sukcesu.

Ciężar eskalacji jest tu kategorią centralną. W języku prostym oznacza on koszt kolejnego kroku; w języku strategicznym – przerzucenie na przeciwnika odpowiedzialności za decyzję, czy warto rozszerzać konflikt po niepowodzeniu pierwszej fazy. Jeśli Chiny uderzą na Tajwan i zostaną zatrzymane przed utrwaleniem kontroli nad wyspą, Pekin stanie przed dylematem. Może zaakceptować ograniczoną porażkę, choć bolesną propagandowo i prestiżowo, albo eskalować poziomo, atakując inne cele regionalne i amerykańskie instalacje, bądź pionowo, grożąc użyciem coraz bardziej niszczycielskich środków.

Im bardziej taka eskalacja jawi się jako agresywna, nieproporcjonalna i ryzykowna, tym większy ciężar spoczywa na agresorze. Obrońca nie musi wtedy przekonywać świata długim traktatem moralnym – wystarczy, że zmusi przeciwnika do pokazania własnej twarzy. To właśnie różni strategię odmowy od strategii kary. Kara obiecuje: jeśli mnie skrzywdzisz, zadam ci ból później. Odmowa mówi: nie pozwolę ci uzyskać rezultatu, dla którego zaczynasz przemoc. Kara bywa efektowna i psychologicznie kusząca, ale odmowa jest strategicznie twardsza. Agresor, który nie osiąga celu, traci sens własnej operacji.

W przypadku Tajwanu oznaczałoby to uniemożliwienie szybkiego desantu, paraliż dowodzenia i zajęcia centrów politycznych, co postawiłoby USA oraz sojuszników przed koniecznością kampanii odbijania utraconej wyspy. Colby'owska intuicja jest okrutnie praktyczna: łatwiej jest nie dopuścić do faktu dokonanego, niż odwracać go po tym, jak przeciwnik zdążył zamienić go w "nową rzeczywistość".

Geopolityka kosztów jako instrument strategii

Współczesny konflikt Izraela, USA i Iranu obrazuje tę logikę w innym teatrze działań, z innymi aktorami i stawką, lecz przy podobnej strukturze eskalacyjnej. Według Reutersa wojna rozpoczęła się 28 lutego 2026 roku od masowej kampanii uderzeń izraelsko-amerykańskich przeciwko Iranowi, co wywołało szerokie skutki regionalne: zniszczenia infrastrukturalne, presję na państwa sąsiednie i destabilizację bezpieczeństwa w Zatoce. Konflikt ten nie jest prostym modelem dla Indo-Pacyfiku, lecz stanowi laboratorium pojęć: ograniczonego celu, próby kontroli eskalacji, walki o cieśninę, nacisku na gospodarkę światową oraz dyplomacji mediatorów. Kluczowe pozostaje pytanie, kto pierwszy uzna, że dalsza eskalacja będzie politycznie bardziej kosztowna niż ograniczone ustępstwo. Iran uczynił z cieśniny Ormuz narzędzie nacisku; Reuters wskazywał w maju 2026 roku, że stała się ona centralnym polem sporu, a przepływ tankowców uległ znacznemu ograniczeniu względem okresu przedwojennego.

To klasyczny przykład przekształcenia geografii w instrument strategii. Cieśnina nie jest tylko pasem wody między brzegami. Jest zaworem w układzie krwionośnym gospodarki światowej. Kto kontroluje zawór, ten może podnieść temperaturę rozmów bez konieczności zdobywania stolicy przeciwnika. Dla prawnika to problem wolności żeglugi, blokad i proporcjonalności środków samoobrony. Dla ekonomisty – kanał transmisji szoku cenowego. Dla kulturoznawcy teatr symboliczny, w którym państwo oblężone komunikuje: nie możecie bombardować mnie bez kosztów dla waszego świata. Reuters podał, że straty globalnych firm oszacowano na co najmniej 25 miliardów dolarów tygodniowo, przy czym najsilniej uderzyło to w linie lotnicze, transport morski oraz producentów zależnych od petrochemii i surowców.

Informacja ta ma znaczenie nie tylko gospodarcze, ale przede wszystkim strategiczne. Wojna ograniczona bywa ograniczona militarnie, lecz gospodarczo pozostaje rozlana. Nie trzeba bombardować fabryki w Europie, aby zniszczyć jej marżę. Wystarczy podnieść koszt energii, frachtu i ubezpieczenia, a zarząd sam zacznie ograniczać produkcję, odraczać inwestycje i korygować prognozy. W epoce globalizacji sankcja, blokada i ryzyko ubezpieczeniowe są artylerią o długim zasięgu. Strzelają wolniej, ale trafiają w bilanse. Jednocześnie konflikt z Iranem obnaża ograniczenia strategii kary. Jeśli celem USA i Izraela było trwałe złamanie zdolności Teheranu do projekcji siły, należy zadać pytanie, czy sama degradacja wojskowa wystarczy do osiągnięcia stabilnego porozumienia. Reuters relacjonował wypowiedź amerykańskiego admirała, według której uderzenia poważnie osłabiły irańską armię i przemysł obronny, pozostawiając Teheranowi ograniczoną zdolność uderzeniową, choć wciąż obejmującą pociski, drony i małe jednostki morskie. To znów klasyczne pole wojny ograniczonej: przeciwnik może być osłabiony, ale nie bezsilny; upokorzony, lecz nie pozbawiony narzędzi odwetu; zainteresowany rozmowami, ale niegotowy do kapitulacji. Rezultat polityczny zależy zatem nie od liczby trafionych celów, lecz od tego, czy przeciwnik uzna dalszą eskalację za mniej korzystną niż porozumienie.

W maju 2026 roku Pakistan przekazał USA zmodyfikowaną irańską propozycję zakończenia wojny. Reuters opisywał, że w tle pozostawały żądania dotyczące programu nuklearnego Iranu, odblokowania cieśniny Ormuz, zniesienia blokad portowych, wznowienia sprzedaży ropy oraz kwestie odszkodowań i gwarancji przed kolejnymi atakami.

Strategia jest ekonomią przetrwania i zarządzaniem kosztami alternatywnymi

Z perspektywy Colby'ego nie jest to anomalia, lecz naturalny etap brutalnych negocjacji. Gdy strony nie chcą lub nie mogą doprowadzić wojny do skrajności, muszą przekształcić przemoc w układ.

Przemoc staje się wtedy językiem wyznaczania granic przyszłego porządku. Brzmi to paskudnie, bo jest paskudne. Jednak gorsza od tej prawdy jest ładna iluzja, jakoby wojny kończyły się dlatego, że strony nagle odkrywają w sobie zamiłowanie do seminariów pokojowych.

Czego przypadek irański uczy nas w kontekście Indo-Pacyfiku? Po pierwsze: teatr drugorzędny może pożerać uwagę i zasoby teatru pierwszorzędnego. Jeśli USA uznają Chiny za główne wyzwanie systemowe, każda długotrwała wojna na Bliskim Wschodzie rodzi problem priorytetyzacji. Strategia w ujęciu Colby'ego wymaga bezlitosnego pytania: czy zaangażowanie w Zatoce wzmacnia, czy osłabia zdolność odstraszania w Azji? Nie chodzi o obojętność wobec Iranu, Izraela, państw arabskich czy bezpieczeństwa energetycznego. Chodzi o to, że w świecie skończonych zasobów każdy pocisk, okręt, bateria obrony powietrznej, jednostka uwagi politycznej i dolar budżetowy mają swój koszt alternatywny. Strategia jest ekonomią przetrwania.

Po drugie, konflikt irański przypomina, że przeciwnik regionalny może oddziaływać na globalny układ sił, o ile posiada geograficzną dźwignię. Iran nie musi być mocarstwem rangi Chin, by wpływać na Pekin, Waszyngton i Europę. Wystarczy, że destabilizacja Zatoki podbije ceny energii, nadwyręży budżety obronne, wymusi przesunięcia wojskowe i da Chinom czas. W geopolityce czas jest walutą mocarstw – jedni kupują go dyplomacją, inni blokadą, a jeszcze inni cudzą wojną. Naiwnością byłoby sądzić, że rywale strategiczni USA nie analizują, ile amerykańskiej energii pochłania każdy dzień konfliktu na Bliskim Wschodzie.

Po trzecie, wojna ta dowodzi, że nie istnieje czysty rozdział między bezpieczeństwem militarnym a dobrobytem. Colby łączy bezpieczeństwo fizyczne, wolność i dobrobyt w jedną triadę. Bez ochrony przed agresją obywatele tracą możliwość korzystania z innych praw; bez autonomii politycznej wspólnota podlega zewnętrznemu dyktatowi; bez dostępu do kluczowych rynków i stabilnych warunków wzrostu dobrobyt staje się zakładnikiem hegemona. Wojna o cieśniny, chipy, porty, kable podmorskie czy wyspy nie jest więc dodatkiem do ekonomii. Jest ekonomią w stanie wysokiej temperatury.

W tym miejscu należy przejść do binding strategy, czyli strategii wiążącej. Jej istotą jest takie ustawienie interesów i sił koalicji, aby agresor nie mógł izolować kolejnych ofiar. To bezpośrednia odpowiedź na strategię salami – metodę plasterkowania porządku. Jeśli Chiny mogłyby uderzyć najpierw w Tajwan, potem zastraszyć Filipiny, wymusić neutralizację Japonii i rozluźnić więzi Australii z USA, wówczas koalicja antyhegemoniczna nie ginie w jednej wielkiej bitwie, lecz w serii rozsądnie uzasadnianych kapitulacji.

Strategia wiążąca i zróżnicowana wiarygodność jako fundamenty realnego odstraszania

Każda z tych decyzji osobno wygląda jak pragmatyzm. Wszystkie razem tworzą mapę poddaństwa. Strategia wiążąca ma temu zapobiec, ale nie za pomocą pustej retoryki solidarności. Solidarność bez mechanizmu jest świecą zapaloną na wietrze. Binding strategy wymaga realnego powiązania planów operacyjnych, systemów dowodzenia i interoperacyjności, a także zapasów amunicji, infrastruktury bazowej, odporności cybernetycznej, komunikacji strategicznej oraz gotowości politycznej. Agresor musi wiedzieć, że atak na jedno ogniwo nie uruchomi debaty pod tytułem „czy to nas dotyczy", lecz procedurę pod tytułem „to już nas dotyczy". Właśnie dlatego amerykańskie pytania do Japonii i Australii o ich rolę w potencjalnym konflikcie tajwańskim są czymś więcej niż biurokratyczną ankietą.

To próba zamiany deklaracji w zobowiązania operacyjne. Reuters relacjonował w 2025 roku, że Pentagon domagał się od sojuszników większej jasności w sprawie ich roli w ewentualnej wojnie o Tajwan. W modelu Colby'ego binding strategy pełni jeszcze jedną, mniej przyjemną funkcję: demaskuje agresora. Jeżeli Pekin przedstawia swoje działania jako lokalną korektę historycznej niesprawiedliwości, koalicja musi zmusić go do poniesienia kosztu ujawnienia prawdziwego celu. Atak na Tajwan nie może wyglądać w oczach regionu jak odosobniony problem cieśniny; musi zostać odczytany jako początek kampanii o dominację nad Azją. Dopiero wtedy państwa wahające się między oporem a przystosowaniem uznają, że lepiej ryzykować teraz razem, niż później samotnie. Bon mot z notatki mówi tu więcej niż traktat: lepiej trzymać się razem, niż dać się powiesić osobno. Krytycy tej koncepcji wskazują jednak, że strategia wiążąca może zamieniać lokalny konflikt w automatyzm koalicyjnej eskalacji. To argument realistyczny, nie naiwny.

Wielkie wojny nieraz rodziły się z mechanizmów zobowiązań, które miały odstraszać, a w kryzysie zaczęły działać jak pas transmisyjny. Dlatego mądra binding strategy nie może być ślepym automatem. Musi wiązać tam, gdzie stawka jest rzeczywiście systemowa, i pozostawiać przestrzeń dyplomacji tam, gdzie przeciwnik szuka wyjścia bez zwycięstwa. W przeciwnym razie obrona porządku może stać się maszyną do jego spalenia. Strategia ma mieć kręgosłup, ale nie powinna mieć odruchu bezwarunkowego skoku w przepaść. Tutaj pojawia się największa zaleta zróżnicowanej wiarygodności.

Pozwala ona uniknąć zarówno imperialnej nadgorliwości, jak i izolacjonistycznej abdykacji. USA nie muszą udowadniać, że będą walczyć o wszystko, aby dowieść, że będą walczyć o coś naprawdę ważnego. W istocie państwo deklarujące gotowość do walki o wszystko staje się mniej wiarygodne, gdyż każdy rozsądny obserwator wie, że jest to niemożliwe. Zróżnicowana wiarygodność nie jest

więc cynizmem, lecz higieną strategiczną. Mówi sojusznikom: tam, gdzie stawka dotyczy równowagi sił w teatrze kardynalnym, jesteśmy poważni; tam, gdzie interes jest wtórny, oczekujemy większej samodzielności lokalnych aktorów. Dla Europy brzmi to niekomfortowo, ale może być ozdrowieńcze. Kontynent, który przez dekady korzystał z amerykańskiego parasola, nie może być wiecznym doktorantem bezpieczeństwa, piszącym kolejny rozdział o autonomii strategicznej, ale bez zamiaru obrony rozprawy.

Z perspektywy prawa i ekonomii ta priorytetyzacja ma konsekwencje instytucjonalne. Europa musi rozumieć, że amerykański zwrot ku Indo-Pacyfikowi nie jest chwilową fanaberią administracji, lecz strukturalną odpowiedzią na przesunięcie centrum ciężkości świata. Jeśli Azja jest głównym teatrem rywalizacji, europejskie bezpieczeństwo musi zostać w większej mierze europeizowane – nie przez antyamerykański gest, lecz przez dojrzałość. Europa może pozostać ważnym partnerem USA tylko wtedy, gdy przestanie być głównie konsumentem bezpieczeństwa. W przeciwnym razie stanie się argumentem w amerykańskiej debacie za tym, że sojusznicy są kosztem, a nie mnożnikiem siły.

Wojna Rosji przeciw Ukrainie również wpisuje się w ten kontekst. Rosja prowadziła w niej własną wersję strategii faktów dokonanych: szybkie uderzenie, próba zajęcia centrum politycznego i narzucenie nowej rzeczywistości przy jednoczesnym odstraszaniu Zachodu groźbą eskalacji. Porażka pierwotnego planu pokazała, że odmowa może uratować państwo przed unicestwieniem politycznym. Jednocześnie długotrwałość wojny dowiodła, że sama odmowa bez wystarczającej skali produkcji, zasobów i trwałej koalicji zmienia konflikt w wyścig wytrzymałości. Lekcja dla Tajwanu jest oczywista: nie wystarczy bohatersko nie upaść; trzeba być przygotowanym tak, by agresor nie zdążył uznać, że może wygrać, zanim świat się obudzi. Przyzwoity pokój jest dzieckiem odstraszania, odmowy i politycznej powściągliwości. Odstraszanie bez odmowy bywa blefem. Odmowa bez powściągliwości bywa drabiną do wojny totalnej. Powściągliwość bez siły bywa zaproszeniem do szantażu. Dopiero ich kombinacja daje coś, co można nazwać dojrzałą strategią pokoju. Nie jest to pacyfizm ani militaryzm. Jest to smutna mądrość państwowa, która wie, że człowiek potrafi zawierać traktaty, ale potrafi też obchodzić je czołgiem.

Dlatego współczesny paradygmat analizy tych zagadnień powinien być interdyscyplinarny. Realizm polityczny wyjaśnia strukturę anarchii i równowagę sił, ekonomia polityczna wskazuje, dlaczego regiony, szlaki czy technologie stają się przedmiotem rywalizacji, a prawo międzynarodowe wyznacza język legitymizacji użycia siły. Antropologia polityczna pokazuje zaś, że państwa kierują się nie tylko interesem materialnym, lecz także honorem i lękiem przed upokorzeniem, podczas gdy kulturoznawstwo odsłania, jak narracje o cywilizacji maskują brutalne projekty dominacji. Kto analizuje strategię wyłącznie przez pryzmat jednego pola, widzi mapę bez legendy.

Pokój jako wynik materialnej zdolności odmowy

Colby'ego można krytykować za twardość, ryzyko militaryzacji polityki wobec Chin czy możliwość pogłębienia dylematu bezpieczeństwa. Można mu zarzucić niedocenienie kanałów współzależności gospodarczej i dyplomacji kryzysowej. Można wskazywać, że samo przygotowanie do wojny o Tajwan może zwiększyć presję czasową Pekinu, który uzna, że okno możliwości się zamyka. Można też pytać, czy społeczeństwo amerykańskie rzeczywiście zaakceptuje koszty wojny ograniczonej o wyspę oddaloną od własnych granic. To są pytania poważne. Ale krytyka musi odpowiedzieć na pytanie jeszcze trudniejsze: jaka jest alternatywa, jeżeli Chiny uznają, że brak twardej odmowy oznacza przyzwolenie na sekwencyjne podporządkowanie regionu?

Tu wraca przypowieść. Miasto między morzem a górami może pisać coraz piękniejsze księgi zasad. Może powołać komitet do spraw nieprowokowania imperium, wysłać kupców, aby wyjaśnili, że wojna szkodzi handlowi, a nawet ogłosić tydzień dialogu międzycywilizacyjnego. Wszystko to może być pożyteczne, o ile za murami stoi straż, a sojusznicy wiedzą, przy której bramie mają się zebrać. Jeżeli jednak księga zasad zastępuje straż, a dialog zastępuje zdolność odmowy, imperium nie musi nienawidzić miasta. Wystarczy, że umie liczyć.

Przyzwoity pokój w epoce wojny ograniczonej nie polega więc na marzeniu o świecie bez przemocy. Polega na takim urządzeniu siły, prawa, gospodarki i koalicji, aby przemoc nie opłacała się temu, kto chciałby uczynić z niej metodę awansu. Pokój jest przyzwoity wtedy, gdy słabszy nie musi codziennie zgadywać humoru silniejszego. Pokój jest przyzwoity wtedy, gdy handel nie jest daniną, prawo nie jest dekoracją, a autonomia polityczna nie zależy od łaskawości hegemona. Pokój jest przyzwoity wtedy, gdy agresor przed pierwszym ruchem widzi nie puste potępienie, lecz zamkniętą drogę.

Jeżeli wojna ograniczona jest laboratorium przyzwoitego pokoju, to Indo Pacyfik jest dziś jego główną salą eksperymentalną. Nie dlatego, że inne regiony przestały mieć znaczenie. Europa nadal pozostaje wielkim zasobem technologicznym, instytucjonalnym i finansowym, a Bliski Wschód wciąż potrafi jednym kryzysem podnieść temperaturę gospodarki światowej. Ameryka Północna pozostaje bazą projekcji siły USA. Ale to w Indo Pacyfiku krzyżują się najważniejsze wektory XXI wieku: produkcja, demografia, chipy, stocznie, floty, sztuczna inteligencja, handel morski, energia, prestiż mocarstwowy i pytanie, czy porządek światowy będzie jeszcze porządkiem pluralistycznym, czy już hierarchią z azjatyckim hegemonem w centrum.

Colby'owski realizm zaczyna się tu od prostego odrzucenia geopolitycznej nostalgii. Stany Zjednoczone nie mogą już myśleć tak, jak w czasie jednobiegunowego momentu po upadku ZSRR, gdy przewaga była tak duża, że błędy strategiczne można było przykrywać rozmachem budżetu, a

brak wyboru udawać moralną wszechobecnością. Era, w której Waszyngton mógł jednocześnie prowadzić wojny ekspedycyjne, projektować demokrację, utrzymywać hegemonię morską, stabilizować Bliski Wschód, odstraszać Rosję, integrować gospodarkę Chin z systemem światowym i jeszcze twierdzić, że wszystko to składa się w jedną doktrynę, dobiegła końca. Nie dlatego, że Ameryka stała się słaba. Dlatego, że świat stał się cięższy.

Najnowsza amerykańska strategia obronna z 2026 roku potwierdza przesunięcie akcentu, choć formułuje je językiem administracyjnym łagodniejszym niż Colby'owska stal. Dokument wskazuje obronę terytorium USA, odstraszanie Chin w Indo Pacyfiku oraz większe współdzielenie ciężarów przez sojuszników jako podstawowe linie wysiłku. Podkreśla również, że gdy siły amerykańskie koncentrują się na obronie homelandu i Indo Pacyfiku, sojusznicy w innych regionach muszą przejmować większą odpowiedzialność za własną obronę. Polski Ośrodek Studiów Wschodnich odczytał tę strategię podobnie: jako dokument, który stawia na bezpieczeństwo samej Ameryki oraz utrzymanie korzystnej równowagi sił w Indo Pacyfiku, przy ograniczaniu ryzyka bezpośredniej konfrontacji z Chinami.

To jest właśnie język zróżnicowanej wiarygodności przeniesiony z teorii do polityki państwowej. USA nie mówią już wiarygodnie: będziemy wszędzie w tej samej skali. Mówią raczej: będziemy tam, gdzie rozstrzyga się struktura systemu. Colby nie jest więc ekscentrykiem siedzącym z mapą i zimną kawą przy biurku stratega; jest symptomem głębszej korekty amerykańskiej świadomości imperialnej. Imperium liberalne uczy się arytmetyki. A arytmetyka, jak wiadomo, jest najbardziej bezlitosną z muz.

Tajwan jest w tej arytmetyce znakiem o wartości większej niż jego powierzchnia. Nie jest tylko wyspą. Jest testem wiarygodności, korkiem w strategicznej butelce, elementem pierwszego łańcucha wysp, demokracją pod presją autorytarnego sąsiada, centrum produkcji półprzewodników i symbolem tego, czy Chiny mogą metodą faktów dokonanych przełamać amerykański system sojuszniczy. Upadek Tajwanu nie byłby tylko lokalnym przesunięciem granicy kontroli. Byłby demonstracją, że USA nie zdołały obronić punktu, który same przez lata uznawały za kluczowy dla równowagi w regionie.

W książce trafnie podkreślono, że obrona Tajwanu jest dla Colby'ego zwornikiem strategii odmowy: skuteczna obrona uniemożliwia Chinom szybkie zwycięstwo, przerzuca ciężar eskalacji na Pekin, potwierdza zróżnicowaną wiarygodność USA i zapobiega przechodzeniu państw regionu na stronę Chin. Mechanizm jest prosty, choć wykonanie diabelnie trudne.

Jeżeli Pekin nie zdoła szybko zdobyć Tajwanu, musi zdecydować, czy zaakceptować porażkę, czy eskalować. Jeżeli eskaluje, odsłania charakter agresora i może skonsolidować przeciw sobie

koalicję. Jeżeli nie eskaluje, przegrywa politycznie. Strategia odmowy nie polega więc na szukaniu wielkiej bitwy rozstrzygającej. Polega na zepsuciu przeciwnikowi scenariusza zwycięstwa.

Tajwan jako praktyczny test strategii odmowy

Obecne napięcia wokół Tajwanu dowodzą, że problem nie jest abstrakcją seminarium strategicznego. W maju 2026 roku Reuters informował o ponownym sprzeciwie Chin wobec amerykańskich dostaw broni dla wyspy, podkreślając, że kwestia ta pozostaje jednym z najostrzejszych punktów sporu w relacjach USA–Chiny. Inne doniesienia wskazywały na rosnącą presję wojskową i dyplomatyczną Pekinu, który już w grudniu przeprowadził wokół Tajwanu pełnoskalowe ćwiczenia. Agencja przypominała również, że Chiny nigdy nie wykluczyły użycia siły w celu podporządkowania wyspy, podczas gdy rząd w Tajpej konsekwentnie odrzuca roszczenia suwerennościowe Pekinu. Z perspektywy Colby'ego kluczowe nie jest to, czy atak nastąpi jutro rano, lecz czy w dłuższej perspektywie Pekin uzna go za wykonalny, opłacalny i możliwy do sfinalizowania w formule faktu dokonanego.

Właśnie dlatego spór o budżet obronny Tajwanu nie jest lokalną kłótnią parlamentarzystów o arkusze kalkulacyjne. Majowe raporty Reutersa z 2026 roku wskazują, że Departament Stanu USA ocenił opóźnienia w tajwańskich wydatkach obronnych jako „ustępstwo” wobec Chin – stało się to po tym, jak parlament zatwierdził jedynie część dodatkowego pakietu, o który zabiegał prezydent Lai Ching-te. W logice strategii odmowy każdy miesiąc zwłoki, każda luka w zapasach amunicji, niewydolne procedury zakupowe czy polityczne gry pod publiczkę tworzą mikroskopijną szczelinę, przez którą może wejść makroskopijna katastrofa.

Wiarygodna koalicja jako materialny mechanizm odmowy

Wojskowo problem Tajwanu jest szczególnie trudny, gdyż Chiny dysponują lokalną przewagą geograficzną. Pekin operuje blisko własnych wybrzeży, co pozwala mu kumulować siły, korzystać z głębi kontynentalnej oraz łączyć presję rakietową, morską, powietrzną, cybernetyczną i informacyjną. USA musiałyby natomiast działać przez Pacyfik, dysponując ograniczoną liczbą baz, ryzykując uderzenia w infrastrukturę sojuszniczą i mierząc się z koniecznością trudnej koordynacji z partnerami. Dlatego strategia odmowy nie może być romantyczną opowieścią o "przybyciu kawalerii". Musi być strukturą przygotowaną przed kryzysem. Okręty nie teleportują się z

deklaracji, a amunicja nie rodzi się z komunikatu prasowego. W tym punkcie pojawia się zewnętrzny stabilizator.

Państwa regionu mogą bać się Chin, lecz samotnie nie są w stanie skutecznie zrównoważyć ich potęgi. Japonia posiada ogromny potencjał technologiczny i coraz poważniejsze zdolności obronne. Australia ma znaczenie geograficzne i sojusznicze. Filipiny są krytyczne dla układu baz i dostępu do zachodniego Pacyfiku. Indie, choć są demograficznym i strategicznym gigantem, mają ograniczoną zdolność projekcji siły w decydującym teatrze morskim Azji Wschodniej. Korea Południowa jest potęgą przemysłową i wojskową, jednak jej kalkulacja bezpieczeństwa pozostaje uwiązana do kwestii Korei Północnej. Żadne z tych państw osobno nie zdoła zmienić chińskiej kalkulacji w pewność porażki. USA są więc potrzebne nie jako dekoracyjny patron, lecz jako kotwica. Colby'owski external cornerstone balancer nie jest jednak tradycyjnym imperium garnizonowym, które bierze na siebie wszystkie lęki klienteli.

To raczej główny inwestor ryzyka strategicznego. Jego obecność ma utwierdzić mniejsze państwa w przekonaniu, że opór nie jest samobójstwem. Koalicja antyhegemoniczna powstaje dopiero wtedy, gdy potencjalni członkowie uznają, że wspólna odmowa daje większą szansę powodzenia niż osobne układanie się z hegemonem. Amerykańska siła ma zatem nie tylko wymiar militarny; jest ona psychologiczna, instytucjonalna i antropologiczna – ma uleczyć strach przed samotnością. Każdy stabilizator musi jednak uważać, by nie stać się dostawcą strategicznego lenistwa. Sojusznicy wierzący, że USA zawsze przyjdą z pomocą, mogą niedoinwestować własnej obronny. To klasyczny problem jazdy na gapę.

Binding strategy ma go ograniczyć: wiąże nie tylko Amerykę z regionem, ale i region z odpowiedzialnością. Współczesna koalicja antyhegemoniczna nie może być układem, w którym Waszyngton płaci rachunek, Tokio wydaje oświadczenie, Canberra zwołuje naradę, Manila czeka, a Tajpej ma nadzieję. Musi to być sieć realnej współodpowiedzialności, w której każdy zna swoją funkcję przed pierwszym strzałem.

Ostatnie sygnały z Waszyngtonu wobec sojuszników wpisują się w logikę Colby'ego. Reuters, relacjonując informacje "Financial Times", podał w 2025 roku, że Pentagon domagał się od Japonii i Australii większej jasności co do ich roli w potencjalnym konflikcie o Tajwan. Choć szczegóły takich rozmów są z natury niepełne, sam kierunek jest znamienny. Sojusz, który nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, co zrobi w pierwszych godzinach kryzysu, przypomina straż pożarną, która najpierw chce powołać podkomisję do spraw pojęcia ognia. W strategii czas reakcji jest treścią wiarygodności. Zróżnicowana wiarygodność oznacza zarazem, że Europa musi usłyszeć komunikat nieprzyjemny. USA mogą nadal wspierać NATO, ale nie mogą wiecznie traktować europejskiego bezpieczeństwa jako równorzędnego priorytetu wobec Indo-Pacyfiku. Jeżeli Chiny są

jedynym rywalem zdolnym do głębokiej przebudowy systemu światowego, a Azja jest głównym rezerwuarem wzrostu, technologii i potęgi przemysłowej, wówczas Europa powinna wziąć na siebie większy ciężar odstraszania Rosji. Nie po to, by odwrócić się od Ameryki, lecz po to, by pozostać dla niej partnerem, a nie strategicznym obowiązkiem alimentacyjnym. To zdanie w Europie brzmi brutalnie, ale brutalność nie jest tu wadą – jest lekarstwem na infantylizm.

Europejski dyskurs przez lata kochał pojęcie autonomii strategicznej, lecz często traktował je jak zapachową świecę w salonie konferencyjnym: dobrze wygląda, dobrze brzmi, nie ogrzewa domu. Jeśli Europa chce być aktorem, musi budować przemysł obronny, zapasy, zdolności mobilizacyjne, odporność infrastruktury krytycznej, jednolite procesy zakupowe, realną interoperacyjność i polityczną zgodę na koszty. Bez tego pozostanie jedynie komentatorem własnej zależności.

Ekonomicznie Indo-Pacyfik jest centrum nie tylko wzrostu, ale i podatności. Półprzewodniki, statki, baterie, metale ziem rzadkich oraz łańcuchy dostaw elektroniki, farmacji i zielonych technologii tworzą gęstą sieć współzależności. Liberalna teoria handlu przez dekady zakładała, że współzależność zmniejsza ryzyko wojny, czyniąc konflikt zbyt kosztownym. Realista odpowiada: owszem, ale tylko dopóki obie strony w równym stopniu boją się tych kosztów. Jeżeli jedna strona uzna, że krótkoterminowy wstrząs jest ceną za długoterminową dominację, współzależność przestaje być hamulcem, a staje się zakładnikiem. Handel nie zawsze łagodzi przemoc. Czasem daje jej listę adresów.

Tajwan jako materialny test strategii odmowy

Tajwan jest jednocześnie punktem krytycznym w wymiarze militarnym i gospodarczym. Dominacja wyspy w produkcji półprzewodników sprawia, że ewentualny kryzys miałby konsekwencje wykraczające daleko poza klasyczną geopolitykę. Byłoby to uderzenie w samo serce gospodarki cyfrowej: od sztucznej inteligencji i sektora obronnego, przez motoryzację i telekomunikację, aż po systemy finansowe.

Colby nie redukuje jednak Tajwanu wyłącznie do roli fabryki chipów. To istotne rozróżnienie, gdyż gdyby wyspa była jedynie magazynem półprzewodników, logika obrony mogłaby zostać cynicznie sprowadzona do rachunku kosztów relokacji produkcji. Tymczasem Tajwan jest przede wszystkim politycznym testem tego, czy agresor może zmienić układ sił za pomocą koncentracji przemocy. Stawka jest tu znacznie wyższa niż wartość najdroższego wafla krzemowego.

W wymiarze prawnym status Tajwanu pozostaje złożony, a właśnie ta niejednoznaczność tworzy przestrzeń dla gry strategicznej. USA nie uznają formalnie Tajwanu za państwo w taki sposób, jak

czynią to w przypadku klasycznych sojuszników traktatowych, są jednak prawnie zobowiązane do wspierania jego zdolności obronnych. Jak przypominał Reuters, amerykańskie prawo wiąże Waszyngton z dostarczaniem Tajwanowi środków do samoobrony, co czyni USA najważniejszym międzynarodowym partnerem bezpieczeństwa Tajpej. Ta dwuznaczność bywa narzędziem stabilizacji, pozwalając odstraszać bez pełnej formalizacji. Może być jednak i źródłem niebezpieczeństwa, gdy w obliczu kryzysu przeciwnik błędnie odczyta zakres determinacji USA. Strategiczna niejednoznaczność działa bowiem tylko wtedy, gdy przeciwnik wierzy, że pod mgłą może znajdować się skała.

Tu dochodzimy do kluczowego pytania: czy trwały pokój wymaga jasności, czy raczej niejasności? Colby skłania się ku formie wiarygodności, która nie musi być absolutną deklaracją obrony, ale musi być operacyjnie przekonująca. Nie wystarczy stwierdzenie: „być może pomożemy". Należy tak rozmieścić zdolności, związać sojuszników i przygotować Tajwan, by koszty dla Pekinu były tak wysokie, aby chińskie dowództwo uznało próbę inwazji za prawdopodobnie nieskuteczną. Odstraszanie nie mieszka w komunikacie. Mieszka w cudzym rachunku ryzyka.

Krytycy podniosą tu argument o spirali bezpieczeństwa. Im bardziej USA wzmacniają Tajwan, tym bardziej Chiny czują, że perspektywa „zjednoczenia" oddala się lub staje się militarnie trudniejsza. W odpowiedzi Pekin naciska, co skłania Tajwan do dalszego zbrojenia się, a to z kolei pozwala Chinom mówić o separatyzmie i zewnętrznej ingerencji. To realny mechanizm, którego nie wolno lekceważyć. Pytanie brzmi jednak: co z niego wynika? Czy należy osłabić Tajwan, by zmniejszyć irytację Pekinu? To byłaby logika lekarza, który leczy gorączkę, rozbijając termometr.

Dylemat bezpieczeństwa można łagodzić poprzez kanały komunikacji, kontrolę kryzysową, jasne definiowanie celów defensywnych i unikanie symbolicznych prowokacji. Nie wolno go jednak łagodzić przez ułatwianie agresji. Aktualna polityka USA próbuje łączyć dwa języki: twardości i deeskalacji. Strategia obronna na rok 2026 mówi o odstraszaniu Chin w Indo-Pacyfiku „przez siłę, nie konfrontację" oraz o dialogu wojskowym w imię stabilności strategicznej.

Brzmi to jak kompromis między Colbym a jego krytykami. Z jednej strony uznaje się konieczność siły, z drugiej – unika zamiany odstraszania w performatywną wrogość. Tak właśnie powinien wyglądać dojrzały realizm: mówić cicho, mieć dużo amunicji, zostawić numer telefonu i nie mylić uprzejmości z bezbronnością.

Ostatnie wydarzenia wokół rozmów USA-Chiny pokazują, jak krucha jest ta równowaga. Reuters informował, że po szczycie prezydentów w Pekinie Tajwan wyraził otwartość na bezpośredni dialog między prezydentem Trumpem a prezydentem Lai Ching-te, obawiając się jednocześnie niejednoznacznych komentarzy Trumpa w sprawie sprzedaży broni i niepodległości wyspy.

Departament Stanu USA utrzymywał, że polityka wobec Tajwanu pozostaje niezmienna. W tym epizodzie widać cały dramat zróżnicowanej wiarygodności. Słowo prezydenta może wzmocnić odstraszanie albo otworzyć przestrzeń do błędnej kalkulacji. W polityce mocarstw fraza bywa tańsza od fregaty, ale jej skutki mogą być równie ciężkie. Chiny obserwują te sygnały z kalkulatorem w ręku i pamięcią historyczną.

Ich strategia nie musi oznaczać natychmiastowej inwazji. Może obejmować blokadę, kwarantannę morską, cyberparaliż, operacje podprogowe, presję celną, izolację dyplomatyczną czy kampanie informacyjne. Fait accompli może przybrać formę czołgów na plaży, ale może zacząć się od kontroli przestrzeni powietrznej lub „tymczasowych" środków bezpieczeństwa. Strategia odmowy musi zatem pozwalać nie tylko na zatrzymanie desantu, ale i na rozpoznanie momentu, w którym presja z tzw. szarej strefy przechodzi w próbę zmiany statusu politycznego.

Dla analityka czy algorytmu badającego wzorce konfliktów najważniejsza jest tu sekwencja: najpierw aspirujący hegemon identyfikuje najsłabsze ogniwo, następnie testuje reakcję przeciwnika działaniami podprogowymi, po czym uruchamia presję dyplomatyczną i gospodarczą, by odizolować cel. Równolegle zastrasza sojuszników, sugerując zbyt wysokie koszty interwencji. Na koniec wykonuje szybki ruch zmieniający stan faktyczny. Jeśli mu się uda, ogłasza nową normalność i przerzuca ciężar eskalacji na obrońców. Jeśli jednak obrona jest przygotowana, strategia faktów dokonanych załamuje się na pierwszej przeszkodzie. W przeciwnym razie historia pisze się językiem map.

Tajwan jest więc miejscem spotkania wszystkich kluczowych kategorii: przyzwoitego pokoju, wojny ograniczonej, ciężaru eskalacji, binding strategy, zróżnicowanej wiarygodności, zewnętrznego stabilizatora, koalicji antyhegemonicznej i strategii odmowy. Nie jest on dodatkiem do teorii – jest jej egzaminem. A każdy egzamin strategiczny ma jedną nieprzyjemną cechę: nie można go zdać po terminie.

Pokój jako architektura kosztów i koalicja interesów negatywnych

W przypowieści z pierwszej części miasto między morzem a górami miało księgę zasad i rosnące za górami imperium. Dopowiedzmy teraz dalszy ciąg. Miasto zrozumiało, że nie wystarczy mieć murów; trzeba wiedzieć, której bramy przeciwnik spróbuje dotknąć najpierw. Nie wystarczy mieć sojuszników – trzeba wiedzieć, czy przyjdą nocą, czy dopiero na konferencję po pogrzebie.

Nie wystarczy mieć prawa. Trzeba posiadać zdolność sprawienia, by jego złamanie było droższe niż przestrzeganie. Nie wystarczy mówić o pokoju; trzeba uczynić podbój nieracjonalnym. Właśnie dlatego Indo-Pacyfik jest dziś kardynalnym teatrem przyzwoitego pokoju. Nie chodzi o to, że Zachód powinien szukać wojny z Chinami – wręcz przeciwnie. Chodzi o to, że jeśli chce jej uniknąć, musi zorganizować rzeczywistość tak, aby Pekin nie pomylił ostrożności z pustką, dialogu ze słabością, a niejednoznaczności z zaproszeniem. Pokój nie jest wtedy stanem sentymentalnym. Jest architekturą kosztów.

Jest układem bodźców. Jest granicą postawioną nie w przemówieniu, lecz w cudzej kalkulacji. Bon mot najlepiej streszczający tę część brzmi: nie trzeba pokonywać smoka w jego jaskini, jeśli potrafi się sprawić, że nie opłaca mu się z niej wyjść. To cena strategicznej dorosłości Europy.

Tajwan jest egzaminem strategii odmowy, a koalicja antyhegemoniczna – egzaminem politycznej organizacji świata. Samotna wyspa, samotne państwo, samotny sojusznik, port, cieśnina czy rząd są zawsze łatwiejsze do złamania niż układ powiązanych interesów. Dlatego w myśli Colby'ego nie wystarcza samo posiadanie siły przez Stany Zjednoczone. Siła musi zostać osadzona w koalicji, a ta z kolei musi być czymś więcej niż albumem wspólnych zdjęć po szczytach i rytualnym hymnem o wartościach. Musi być systemem, który czyni agresję trudną, kosztowną i politycznie samodemaskującą. Koalicja antyhegemoniczna nie jest wspólnotą świętych. To istotne, gdyż współczesny Zachód lubi moralnie czyścić rzeczywistość, zanim zacznie ją rozumieć.

W świecie Colby'ego koalicję przeciwko hegemonowi tworzą państwa o różnych ustrojach, kulturach strategicznych, interesach gospodarczych, pamięciach historycznych i lękach. Łączy je niekoniecznie identyczna wizja dobra, lecz wspólny interes negatywny: nie zostać podporządkowanym potędze chcącej narzucać reguły w regionie. Taki sojusz bywa mniej piękny niż liberalna wspólnota wartości, ale często okazuje się skuteczniejszy, ponieważ nie wymaga zgody metafizycznej. Wymaga jedynie zgody na jedno: hegemon nie może wygrać. Koalicja antyhegemoniczna została ujęta jako szeroka, elastyczna i „ekumeniczna" sieć współpracy, złożona z formalnych sojuszników, quasi-sojuszników i partnerów nieformalnych, których łączy obrona autonomii przed potęgą sąsiada. Jej celem nie jest podbój ani ustanowienie własnej dominacji, lecz odmowa – zablokowanie aspirantowi drogi do regionalnej supremacji. To rozróżnienie jest kluczowe. Koalicja antyhegemoniczna ma być narzędziem równowagi, a nie krucjatą. Ma powstrzymać Chiny przed dominacją w Azji, a nie prowadzić wojnę o ich duszę, zmianę ustroju czy upokorzenie cywilizacyjne.

Ta powściągliwość celu jest ważna zarówno moralnie, jak i strategicznie. Moralnie, ponieważ pozwala odróżnić obronę porządku przed agresją od imperialnego mesjanizmu. Strategicznie, gdyż ograniczony cel zmniejsza ryzyko, że Pekin uzna konflikt za egzystencjalny. Jeśli Chiny mają

uwierzyć, że mogą żyć, handlować, rosnąć i posiadać prestiż bez hegemonii, amerykańska strategia musi być twarda wobec ekspansji, ale nie apokaliptyczna wobec samego istnienia potęgi chińskiej. Innymi słowy: trzeba zamknąć drogę do dominacji, ale nie zamykać drogi do przyzwoitego kompromisu. To właśnie punkt, w którym „przyzwoity pokój" przestaje być sloganem, a staje się architekturą bodźców. Pod tym względem Colby jest bardziej subtelny, niż sugerują jego najostrzejsi krytycy.

Strategia wiążąca jako mechanizm krystalizacji oporu

Nie chodzi o to, że wojna z Chinami jest pożądana. Chodzi o to, że będzie ona mniej prawdopodobna, jeśli Pekin uzna, iż nie osiągnie dzięki niej hegemonii. Nie twierdzimy, że Ameryka powinna bronić wszystkiego, lecz że musi bronić tego, co decyduje o równowadze systemu. Sojusznicy nie mają być wasalami; muszą zostać jednak związani realnym kosztem i wysiłkiem, bo w przeciwnym razie będą dryfować między lękiem, oportunizmem a jazdą na gapę. To nie jest prosty militaryzm, lecz logika instytucjonalna świata pozbawionego globalnego policjanta.

Problem polega na tym, że koalicje antyhegemoniczne są trudne w budowie, ponieważ państwa boją się nie tylko wroga, ale i siebie nawzajem. Słabsze ogniwa obawiają się porzucenia przez lidera lub wciągnięcia w konflikt zbyt wcześnie, zbyt głęboko i w cudzym interesie. Z kolei lider koalicji lęka się, że partnerzy będą korzystać z jego parasola, nie inwestując we własną obronę.

Boją się wszyscy, choć każdy w inny sposób. Strategia wiążąca ma zamienić ten chaos lęków w strukturę działania. Agresor musi widzieć, że nie atakuje odizolowanego punktu, lecz układ naczyń połączonych. Tu powraca pojęcie binding strategy – i nie jest ono dekoracyjnym terminem z katalogu think tanków, lecz techniką budowania automatyzmu politycznego bez ślepego automatyzmu wojennego.

Celem jest takie powiązanie interesów, zdolności, baz, szlaków, systemów rozpoznania, komunikacji i przemysłu, aby atak na Tajwan, Filipiny czy inny kluczowy element nie został uznany przez resztę za cudzy kryzys. Agresor powinien wiedzieć, że ruch mający podzielić koalicję może w rzeczywistości ją zespolić. Dobrze zaprojektowana strategia wiążąca sprawia, że przemoc napastnika działa jak odczynnik chemiczny: ujawnia jego zamiary i przyspiesza krystalizację oporu.

Należy jednak zachować ostrożność. Strategia wiążąca nie może być sznurem, na którym państwa same się powieszą. Jeśli każdy incydent, manewr morski czy cyberatak automatycznie uruchamia pełną drabinę eskalacyjną, koalicja staje się zakładnikiem najgorszego dnia, najgorszego kapitana i

najgorszego algorytmu rozpoznania. Dlatego dojrzała strategia wiążąca musi rozróżniać presję podprogową od próby zmiany statusu politycznego; test od ataku, sygnał od operacji oraz kryzys, który trzeba zarządzić, od agresji, której trzeba odmówić powodzenia. Strategia pozbawiona tych rozróżnień jest tylko głośną paniką w mundurze. Współczesna polityka USA próbuje właśnie takiego rozgraniczenia dokonać.

Bezpieczeństwo jako kosztowne dobro publiczne wymagające europejskiej dojrzałości

Amerykańska strategia obronna z 2026 roku definiuje odstraszanie Chin w Indo-Pacyfiku jako działanie „przez siłę, nie konfrontację", łącząc koncentrację militarną z deklaracją stabilnego pokoju, dialogu i deeskalacji. Dokument wskazuje przy tym na konieczność większego współdzielenia ciężarów przez sojuszników, zwłaszcza w obliczu skupienia USA na obronie własnego terytorium oraz regionu Indo-Pacyfiku. Parlament Europejski w analizie tej strategii zauważył, że wiąże ona odstraszanie Chin z koncepcją „pokoju przez siłę", ale jednocześnie dąży do dekonflikcji i deeskalacji. Uznaje przy tym Azję za gospodarcze centrum ciężkości, którego dominacja przez Pekin mogłaby zagrozić amerykańskim interesom ekonomicznym. W praktyce oznacza to dla Europy koniec komfortowego snu pod amerykańską kołdrą. Nie chodzi o porzucenie NATO, lecz o przesunięcie hierarchii priorytetów.

Rosja pozostaje realnym zagrożeniem dla Europy, co brutalnie udowodniła wojna przeciw Ukrainie. Jednak w amerykańskiej kalkulacji Rosja nie jest Chinami. Brakuje jej potencjału gospodarczego, technologicznego i demograficznego, który pozwoliłby na stworzenie alternatywnego centrum świata. Chiny taki potencjał posiadają. Dlatego Europa musi wreszcie potraktować własną obronę jako zadanie podstawowe, a nie jako rubrykę budżetową odkładaną do następnego kryzysu. Jeśli Stany Zjednoczone mają pełnić rolę zewnętrznego stabilizatora w Azji, Europa musi przestać być strategicznym dzieckiem specjalnej troski.

To brzmi nieprzyjemnie, ale jest wyrazem solidarności z rzeczywistością. Europejskie państwa przez lata pielęgnowały kulturę polityczną, w której bezpieczeństwo było czymś oczywistym i naturalnym – niczym prąd w gniazdku. Gdy prąd płynie, nikt nie myśli o elektrowni; gdy go zabraknie, wszyscy odkrywają metafizykę infrastruktury. Podobnie jest z bezpieczeństwem. Dopiero wojna przywraca świadomość, że granica, magazyn amunicji, przemysł zbrojeniowy, mobilizacja, porty, kolej, satelity i zdolność dowodzenia nie są rekwizytami minionego wieku, lecz warunkami istnienia prawa, wolności i rynku. W tym miejscu ekonomista musi wejść w spór z moralistą – nie po to, by go poniżyć, lecz by doprecyzować fakty. Moralista twierdzi, że pokój jest

wartością. Ekonomista odpowiada: zgoda, ale pokój jest także dobrem publicznym o wysokim koszcie utrzymania. Korzystają z niego wszyscy, finansować chce go niewielu, a gdy system się załamuje, koszt ponoszą nawet ci, którzy uważali bezpieczeństwo za „temat wyłącznie wojskowych". Koalicja antyhegemoniczna jest więc mechanizmem produkcji dobra publicznego w warunkach anarchii. Jeśli każdy będzie liczył na to, że zapłaci ktoś inny, hegemon zapłaci najmniej: po prostu weźmie to, co chce. Konflikt Izrael-USA-Iran pokazuje gospodarczą stronę tej prawdy z niemal laboratoryjną brutalnością.

Koszt bierności i ryzyko strategii odmowy

Reuters oszacował, że trwający konflikt obciążył globalne firmy kosztami co najmniej 25 miliardów dolarów tygodniowo. Uderzyło to szczególnie w linie lotnicze, producentów zależnych od petrochemii i transport morski, podnosząc jednocześnie presję inflacyjną. To jednak nie jest tylko bilans wojny regionalnej.

To lekcja o tym, że bezpieczeństwo szlaków, cieśnin i energii jest infrastrukturą kapitalizmu. Kto jej nie chroni, ten nie tyle oszczędza na wojsku, ile zaciąga kredyt w chaosie. Iran, wywierając presję na cieśninę Ormuz, pokazał, jak średnie mocarstwo regionalne może uderzyć w światową gospodarkę bez posiadania statusu globalnego hegemona. Chiny w Indo-Pacyfiku dysponują instrumentarium wielokrotnie potężniejszym: skalą rynku, udziałem w produkcji, wpływem na łańcuchy dostaw, możliwościami cybernetycznymi, flotą, arsenałem rakietowym oraz zdolnością wywierania nacisku na państwa zależne gospodarczo. Jeśli regionalny kryzys w Zatoce generuje wielomiliardowe straty dla firm, to konflikt w Cieśninie Tajwańskiej mógłby stać się gospodarczym trzęsieniem ziemi o skutkach systemowych. Dlatego przyzwoity pokój w Azji jest także warunkiem przewidywalności bilansów, inwestycji, ubezpieczeń i produkcji. Rynek nie jest przeciwieństwem geopolityki. Jest jej nerwowym układem.

Kulturoznawca dodałby, że hegemonia nie opiera się wyłącznie na przymusie materialnym, lecz działa przez normalizację. Najpierw państwa mówią: ustąpmy w tej jednej sprawie, bo to lokalny spór. Potem: nie drażnijmy hegemona, handel jest ważniejszy. Następnie: może jego roszczenia są historycznie zrozumiałe. Później: trzeba dostosować język, by nie prowokować. A na koniec: niezależność zawsze była tylko fikcją. Tak powstaje kultura podporządkowania. Nie przez jedną zdradę, lecz przez tysiąc rozsądnych zdań. To dlatego strategia faktów dokonanych jest tak groźna – ona nie tylko zmienia mapę, ale i słownik.

Prawnik musiałby natomiast wskazać rzecz jeszcze mniej wygodną. Prawo międzynarodowe chroni suwerenność, zakazuje agresji i tworzy język oceny działań państw, jednak w relacji z mocarstwami

często staje się skuteczne dopiero wtedy, gdy istnieje polityczna i wojskowa zdolność jego podparcia. Nie jest to argument przeciw prawu, lecz przeciw prawniczemu fetyszyzmowi. Norma bez egzekucji nie znika, ale staje się zależna od koalicji, sankcji, reputacji i siły. Dlatego państwo, które naprawdę szanuje prawo, musi myśleć o środkach jego ochrony. W przeciwnym razie będzie pisać piękne rezolucje na papierze dostarczonym przez zwycięzcę.

W tym punkcie krytycy Colby'ego stawiają swoje najsilniejsze argumenty. Po pierwsze ostrzegają, że strategia odmowy wobec Chin może pogłębiać dylemat bezpieczeństwa i skłaniać Pekin do przyspieszenia działań, zanim okno możliwości się zamknie. Melanie Sisson z Brookings pisała, że odstraszanie przez odmowę może wymagać tak daleko idącego przygotowania wojskowego, iż zwiększa presję na decyzje kryzysowe i może wciągać USA w logikę wojenną, zanim polityka zdąży przeprowadzić refleksję. Po drugie wskazują, że Chiny nie muszą interpretować amerykańskiej strategii jako czysto defensywnej; mogą widzieć w niej próbę trwałego uniemożliwienia zjednoczenia z Tajwanem i ograniczenia ich statusu. Po trzecie pojawia się pytanie o trwałość amerykańskiej woli społecznej: czy USA zaakceptują koszty wojny ograniczonej w Azji, jeśli stawka nie będzie dla przeciętnego wyborcy oczywista?

Tym krytykom należy się poważne odniesienie; strategia, która nie zna swoich ryzyk, nie jest strategią, lecz autopromocją. Jednak oponenci muszą odpowiedzieć na pytanie symetryczne: co się stanie, jeśli USA nie zbudują zdolności odmowy? Jeśli Tajwan pozostanie zbyt słaby, sojusznicy niepewni, Japonia i Australia operacyjnie niezwiązane, Europa zależna, a Waszyngton rozproszony między wieloma teatrami – czy Pekin nie uzna, że strategia sekwencyjna jest wykonalna? Czy brak przygotowania naprawdę zmniejsza ryzyko wojny, czy tylko zwiększa atrakcyjność pierwszego ruchu agresora? Pacyfizm strategicznie bezradny nie jest przeciwieństwem wojny. Bywa jej sekretariatem.

Pokój jako wynik materialnej zdolności odmowy sukcesu agresora

Dlatego Colby'ego należy bronić nie jako proroka wojny, lecz jako autora doktryny bolesnej odpowiedzialności. Jego zasadnicza intuicja jest przekonująca: pokój nie utrzyma się sam, jeśli aspirujący hegemon uzna, że może zmieniać status quo punktowo, szybko i przy akceptowalnym koszcie. Kluczowa nie jest zdolność do spektakularnej zemsty, lecz posiadanie zdolności do odmowy sukcesu. Nie globalne moralizowanie, lecz regionalna wiarygodność. Nie deklarowanie obrony porządku, lecz takie ustawienie sił, aby jego naruszenie było nieopłacalne już od pierwszego dnia.

W przypowieści o mieście między morzem a górami rada miejska dochodzi wreszcie do trzeciego odkrycia. Pierwsze brzmiało: księga zasad potrzebuje straży. Drugie: straż musi wiedzieć, której bramy pilnować. Trzecie jest najtrudniejsze: nie wystarczy mieć własnej straży, jeśli sąsiednie miasteczka czekają, aż imperium przyjdzie najpierw po kogoś innego. Należy zbudować z nimi taki układ, w którym pierwszy atak nie będzie wydarzeniem lokalnym, lecz wspólnym alarmem.

Nie dlatego, że wszyscy się kochają, ale dlatego, że wszyscy umieją liczyć. Koalicja antyhegemoniczna jest właśnie sztuką liczenia przed katastrofą. Jej przesłanie można ująć w jednym zdaniu: razem kosztujemy agresora więcej niż osobno. To stwierdzenie jest mniej wzniosłe niż deklaracje wartości, lecz w godzinie próby bywa bardziej zbawcze. W polityce międzynarodowej wzniosłość bez kosztu jest poezją. Koszt bez wzniosłości jest rachunkiem. Dopiero ich połączenie staje się strategią.

Przyzwoity pokój nie wymaga zatem, aby wszystkie państwa koalicji miały identyczne dusze; wymaga jedynie wystarczająco zbieżnego interesu w nieuleganiu hegemonowi. Wymaga USA jako zewnętrznego stabilizatora, ale nie jako wiecznego sponsora cudzej bierności. Wymaga Europy dorosłej, Japonii odpowiedzialnej, Australii świadomej swego położenia, Filipin zdolnych do obrony własnej przestrzeni, Tajwanu przygotowanego na pierwsze dni kryzysu i Ameryki rozumiejącej, że największą rozrzutnością jest brak priorytetów. Koalicja nie jest chórem aniołów, lecz polisą przeciw hegemonowi. A polisa działa tylko wtedy, gdy składka została zapłacona przed pożarem.

> W ostatecznym rozrachunku pokój nie jest stanem sentymentalnym ani brakiem konfliktów, lecz precyzyjną architekturą kosztów, która czyni podbój nieracjonalnym. Prawdziwa tragedia współczesnej polityki polega na tym, że wielu z nas wciąż myli uprzejmość z bezbronnością i dialog z gotowością do obrony. Czy zatem będziemy budować mury i sojusze w czasie pokoju, czy pozwolimy, by nasza wiara w „księgę zasad” stała się jedynie instrukcją obsługi dla tych, którzy potrafią liczyć lepiej od nas?

Inspiracje

[1] 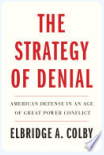

"Strategy of Denial" Elbridge A Colby

2021 | Yale University Press | ISBN: 978-0300256437

Elbridge Andrew Colby (ur. 30 grudnia 1979 r.) jest amerykańskim specjalistą i strategiem w dziedzinie polityki bezpieczeństwa narodowego. Obecnie pełni funkcję Podsekretarza Obrony ds. Polityki (od 2025 r.). Wcześniej Colby pełnił funkcję Zastępcy Asystenta Sekretarza Obrony ds. Strategii i Rozwoju Sił Zbrojnych (2017–2018), gdzie odegrał wiodącą rolę w opracowaniu Strategii Obrony Narodowej na rok 2018, która priorytetowo traktowała rywalizację mocarstw z Chinami. Jest współzałożycielem The Marathon Initiative, think tanku zajmującego się globalną strategią USA. Absolwent Uniwersytetu Harvarda i Wydziału Prawa Uniwersytetu Yale, Colby jest wybitnym przedstawicielem realistycznej tradycji polityki zagranicznej, opowiadającym się za strategicznym skupieniem się na Indo-Pacyfiku w celu powstrzymania regionalnej hegemonii. Jest autorem wpływowej książki „Strategia zaprzeczenia: Obrona Ameryki w epoce konfliktu wielkich mocarstw" (2021).

Elbridge Andrew Colby (born December 30, 1979) is an American national security policy professional and strategist. He currently serves as the Under Secretary of Defense for Policy (as of 2025). Colby previously served as the Deputy Assistant Secretary of Defense for Strategy and Force Development (2017–2018), where he played a lead role in developing the 2018 National Defense Strategy, which prioritized great power competition with China. He is a co-founder of The Marathon Initiative, a think tank focused on U.S. grand strategy. Educated at Harvard University and Yale Law School, Colby is a prominent voice in the realist tradition of foreign policy, advocating for a strategic focus on the Indo-Pacific to deter regional hegemony. He is the author of the influential book 'The Strategy of Denial: American Defense in an Age of Great Power Conflict' (2021).

U.S. Department of Defense

Literatura uzupełniająca

Książki

Autorzy przywoływani w artykule:

[1] **"Strategic Stability: Contending Interpretations (Enlarged Edition)"**

Elbridge A. Colby, Michael S. Gerson, Strategic Studies Institute, U.S. Army War College

Lulu.com | ISBN: 9781304049520

[2] **"Strategic Stability"**

Elbridge A. Colby

2013 | Army War College Press | ISBN: 9781584875628

[3] **"Strategia wypierania"**

Elbridge A. Colby

2023 | ISBN: 9788367487221

[4] **"PROMOTING STRATEGIC STABILITY IN THE MIDST OF SINO-U.S. COMPETITION."**

Elbridge A. Colby

2022

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[5] **"DiplomacyTheory and practice G R Berridge"**

[6] **"On China Henry Kissinger"**

[7] **"The World Richard Haass"**

[8] **"Global Discord Paul Tucker"**

[9] **"On Toleration Michael Walzer"**

[10] **"Conflict Security Foreign Policy and International Political Economy"**

Michael Brecher

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "Choosing to Lose: How Ex-Ante Expectations Determine Asymmetric Conflict Outcomes"

M. Sisson

2012

Google Scholar

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System

Fundacja Dobre Państwo © 2026

Article ID: 8780f51b-5d14-4796-bcea-7614884ec13a